

1983 rok – na wczasy z Polski do Bułgarii

23 maja 2024

1983 rok. Podróż samochodem osobowym na wczasy z Polski do Bułgarii via CCCP (Союз Советских Социалистических Республик), czyli Związek Radziecki (lub Sowiecki) wiernie przez uczestnika opisana.

Tegoroczny urlop spędzałem wraz z rodziną w Bułgarii, jak czyni to wielu Polaków. Wydawać by się mogło, że podróż przez „zaprzyjaźnione” oficjalnie kraje jest samą przyjemnością. Jak to wygląda w rzeczywistości, spróbuję opowiedzieć, opierając się na własnym doświadczeniu.

Wyjazd na urlop, nawet do Bułgarii, jest dla przeciętnie zarabiającego Polaka rzeczą kosztowną. Niezależnie od tego wymaga sporo zabiegów związanych z załatwianiem spraw paszportowych i odstania w kolejce wielu godzin, aby te zabiegi zrealizować. Dodatkowe komplikacje powoduje fakt, że złotówka nie jest wymienialna na żadne inne, nawet socjalistyczne waluty. Wyjeżdżając należy więc wykupić różne bony i talony na wyżywienie, benzynę itp. Aby, na przykład, móc przejechać samochodem przez Rumunię, należy wykupić talon na 40 litrów benzyny za 13000 zł. Bez talonu polski turysta nie może tam zakupić benzyny, chyba że za dolary. Poza wyżej opisanymi, turysta jadąc przez zaprzyjaźnione kraje napotyka na cały szereg utrudnień i niespodzianek, których pokonanie wymaga wiele przemyślności i sprytu.

Wyjechawszy z Tarnobrzegu rano, dojechaliśmy późnym wieczorem do przejścia granicznego w Medyce. Było już po sezonie urlopowym, ale przed przejściem granicznym uformowała się kilkusetmetrowa kolejka samochodów. Po ponad 10-godzinym oczekiwaniu stajemy przed polskim celnikiem i na jego polecenie wyładowujemy całą zawartość samochodu. Po kilkunastu

minutach dostajemy polecenie zapakowania bagażu z powrotem, co trzeba robić „w tempie”, bo następni delikwenci czekają na miejsce na stołach. Pod granicznym szlabanem wjeżdżamy na terytorium ZSRR.

Znow kilkugodzinne oczekiwanie, które jest tutaj regułą: gdy jest dużo samochodów, odprawa przebiega w żółwym tempie ; gdy samochodów jest mało, celnicy robią przerwę i znowu oczekuje się kilka godzin. Tak jest i tym razem: po kilku godzinach oczekiwania docieramy do radzieckiego celnika i na jego polecenie wyładowujemy całą zawartość samochodu na stoły przy stanowisku. Celnik nie przejawia nimi wielkiego zainteresowania, oddala się do pobliskiej budki. Czekamy na niego dobre pół godziny, po czym zauważamy przez szybę, że drzemie w kącie na krześle. Mija dalsze kilkanaście minut, celnik wychodzi wreszcie ze swej budki, zjawiają się pomocnicy uzbrojeni w latarki i stalowe druty. Nakłuwają nimi siedzenia, zagłówki, obstukują i obwąchują samochód od środka i od spodu, gdyż każdy samochód najeżdża na kanał. Rewizja samochodu zakończona. Celnik, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem wyładowanych bagaży, każe je na powrót ładować do samochodu. Jeszcze pogranicznik sprawdza paszporty i wydaje „razpisku”[1] z godziną odprawy. Za nami nieprzespana noc zmarnowana oczekiwaniem na odprawę, a od tej chwili mamy 24 godziny na przejechanie 500 km trasą przez Lwów, Tarnopol, Zaleszczyki, Czerniowce. Kilka kilometrów za granicą zjeżdżamy na przydrożny parking, gdzie kilkoro polskich turystów stara się doprowadzić do ładu rozbebeszone bagaże. Z lasu wychodzą tubylcy i chcą kupić buty, kurtki, spodnie... Dwóch podchodzi do naszego samochodu: „Pan! Masz spodnie z popelinu?”. Nie mam, więc idą dalej.

Nagle przy sąsiednim samochodzie zamieszanie: w momencie nieuwagi inny osobnik wyrwał z bagażnika walizkę z zawartością i uciekł do lasu. Interwencja jest ryzykowna, w lesie oczekuje kilku jego współników i można oberwać nożem. Pakujemy się pośpiesznie i odjeżdżamy. Przejazd przez Lwów jest trudnym

egzaminem dla samochodu i kierowcy: kocie łby „urozmaicone” wyrwami i wystającymi lub zapadniętymi szynami tramwajowymi w połączeniu z brakiem oznakowania składają się na koszmar jazdy przez to miasto. Kierujemy się pod hotel: jeden, drugi – lecz próżne nadzieje, że uda się nam zanocować lub odpocząć. Miejsc nie ma, lub co bardziej prawdopodobne, nie ma ich dla Polaków. Wracając do samochodu, widzę, że stoi przy nim policjant. Samochód zaparkowałem prawidłowo, upewniwszy się przedtem, że parkowanie jest dozwolone. Policjant sprawdza mi dokumenty, a na pytanie o hotel pada odpowiedź: „Ujeżdżaj! Spat’ i kuszat’ nada w Polsce!”[2]. Odjeżdżam i kilkadziesiąt metrów dalej skręcam w boczną ulicę, żeby zastanowić się, co dalej robić. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, głodni i niewyspani, a kilkuletnia Magda marudzi. Postanawiamy zapytać, gdzie można by się umyć, coś zjeść i odpocząć. Zapytana o to młoda Rosjanka, widząc umordowane dziecko, po krótkim wahaniu proponuje nam, by pójść do niej. Zaproszenie przyjmujemy jak uśmiech losu. Mówi, żeby zostawić samochód i iść za nią, gdyż zapraszanie do domu Polaków jest karane. Ogląda się czujnie, a my idziemy w oddaleniu.

W domu częstuje nas herbatą, korzystamy z łazienki, zmywając zmęczenie i bezsenność. Po godzinie wracam do samochodu, z bramy wyskakuje policjant trzymający w ręku przed chwilą oderwany z mojego samochodu znaczek PL. Tablice rejestracyjne noszą ślady próby odkręcania. Legitymuje mnie, a wskazując na damską i dziecięcą odzież widoczną we wnętrzu samochodu, żąda wskazania miejsca, w którym znajduje się reszta pasażerów. Mówię, że żona poszła umyć i nakarmić dziecko. Policjant odpowiada, że on czeka już długo, „wy paszli na kwatyrę”[3], jak nie powiem gdzie, to on zabierze mi paszport i zawróci nas do Polski. Nie chcąc robić kłopotu uczynnej Rosjance, nie zdradzam miejsca pobytu Joasi i Magdy. Stójkowy wzywa radiowóz ze „starszyną”. Wysypuje się z niego kilku policjantów, znowu pytają o „kwatyrę” i rewidują bagaże. Starszyna z zainteresowaniem ogląda moją dość atrakcyjną bluzę, która wyraźnie mu się podoba; mówię, żeby ją sobie zabrał, na co

przystaje z ochotą, po czym mówi, że zaprowadzą mnie na inny parking i żebym jechał za nim, aby stójkowy nie widział, że on mnie puścił. Zanim odjadę, stójkowy też domaga się swojej doli, ale nie daję mu nic. Wracam po Joasię i Magdę, rozglądając się nieufnie dookoła. Zastaję je płaczące, Joasia jest zdenerwowana, oglądała całą scenę przez okno i myślała, że zabrali mnie gdzieś na komisariat. Zabieram je ze sobą, dziękujemy Rosjance i „rwiemy z kopyta” dalej.

Z relacji spotkanych na trasie Polaków wynika, że opisane praktyki policjantów są powszechnie stosowane w stosunku do przejeżdżających tranzytem naszych turystów. Haracz jest wymuszany na różne sposoby: mandaty za niepopołnione przekroczenia drogowe (oczywiście bez pokwitowania), łapówki itp. Po południu na teren dworca i na trasę przejazdu Polaków wyruszają patrole, których zadaniem jest wypędzenie usiłujących tutaj zanocować lub odpocząć polskich turystów. Sposób odnoszenia się policji w tym „zaprzyjaźnionym” kraju do obywateli polskich jest poniżej wszelkich reguł. Zresztą, do obywateli własnego kraju odnoszą się jeszcze gorzej.

Spotkany za miastem Rosjanin wdaje się w rozmowę z nami, mówi, że on nie może wyjechać za granicę nawet do Polski i bardzo nam tych możliwości zazdrości. Jedyna dostępna forma wyjazdu, wyłącznie do socjalistycznego kraju, to zbiorowa wycieczka autobusem. „Norma” przewiduje, że na autokar podróżnych ma przypadać 4 stróżów z KGB[4]. Z rozmowy wynika, że nie jest Rosjaninem, lecz obywatelem jednej z południowych republik. W jego republice nie-Rosjanie mogą pełnić tylko podrzędne funkcje: robotnika lub kierowcy. Kiedyś był zaproszony do Polski przez Polaka. Złożył podanie o paszport i zaproszenie. Skutkiem tego było nękanie go przesłuchaniami w KGB przez trzy miesiące. Paszportu oczywiście nie dostał. Dlatego zazdrości nam, Polakom, możliwości przemieszczania się własnymi samochodami i uważa, że trudno się dziwić radzieckiemu policjantowi, że czuje do nas zawiść. On też nie może nigdzie wyjechać.

Żegnamy naszego sympatycznego rozmówcę i ruszamy w drogę, aby przed zmrokiem przebyć możliwie najwięcej kilometrów. Droga na odcinku od Tarnopola de Czerniowców jest fatalna, miejscami porozkopywana z nieoznakowanymi przeszkodami-pułapkami. Późną nocą, lecz przed upływem przeznaczonych na tranzyt 24 godzin stajemy na przejściu granicznym w Parubnoje. Przed nami kilka samochodów i nic się nie dzieje. Dopiero około godziny 10 rano przekraczamy granicę i wjeżdżamy do Rumunii z prawdziwym uczuciem ulgi, że udało się opuścić gościnny kraj oficjalnych przyjaciół, gdzie najczęściej słyszany przez Polaka zwrotem jest „Ujezzaj! Nie nada!”.

Przejazd przez Rumunię też nie jest usłany różami. Napady na polskich turystów, rabunki i kradzieże są na porządku dziennym. Co kilkaset metrów przy drodze stoją grupki ludzi i zatrzymują przejeżdżające polskie samochody. Chcą kupić odzież, antybiotyki i inne lekarstwa, kawę, papierosy... Brak tych artykułów na rynku zmusza ich do zaopatrywania się u polskich turystów. To była nasza pierwsza podróż przez Rumunię, ale nie ostatnia. Przejeżdżając kilkakrotnie przez ten kraj, za każdym razem usiłowaliśmy zjeść jakiś posiłek np. w barze szybkiej obsługi. W Konstancy przeszliśmy całe centrum handlowe i nigdzie nie udało nam się zjedzenie posiłku. Z produktów spożywczych było tylko ciasto podobne z wyglądu do szarlotki i napój przypominający oranżadę. W sklepach natomiast stały piramidy słoików z kompotami i przetworami owocowymi, a także można było kupić makaron. Inne produkty były trudnodostępne, a np. masło było nieosiągalne.

Noc spędziliśmy na kempingu w pobliżu granicy rumuńsko-bułgarskiej. Wśród biwakujących Polaków przechadzali się Rumuni, usiłując nabyć dobra u nich niedostępne. Dzieci proszą o cukierki i gumę do żucia w sposób dosyć natrętny. Trudno się temu jednak dziwić: artykułów tych nie ma w sklepach, podobnie jak cukru, tłuszczów, czekolady, kawy itp. Przy stacjach benzynowych kilometrowe kolejki samochodów – niektóre stoją po kilka dni, przykryte plandekami. Brak benzyny powoduje, że na

drogach ruch jest niewielki, a komunikacja autobusowa nieregularna. Przy tych wszystkich brakach, w porównaniu z ZSRR Rumunia i Bułgaria są krajami stosunkowo dobrze zaopatrzonymi w żywność i inne towary.

Po kilkudniowym wypoczynku nad Morzem Czarnym wyruszamy w drogę powrotną. Znane już nam szlaki wprowadzają nas w podły nastrój, na granicy w Porubnoje jesteśmy trzecim samochodem w kolejce, ale nie ma się z czego cieszyć: odprawa i tak trwa trzy godziny. Przed nami odprawiono samochód, zabierając starszej pani wiezione przez nią z Bułgarii dla wnuczków brzoskwinie i winogrona. Celnicy i pogranicznicy radzieccy konsumują je od razu, nie czekając nawet, aż starsza pani odjedzie. Ta zresztą wcale nie życzy im smacznego, tylko klnie i złorzeczy.

W małym miasteczku gdzieś między Lwowem i granicą polską widzimy tuż przy drodze restaurację. Za nami męcząca podróż, zostało nam w kieszeni jeszcze kilka rubli, więc zatrzymujemy się z zamiarem zjedzenia jakiegoś posiłku. Stojący przy drodze policjant podchodzi natychmiast do samochodu, zanim zdążyliśmy wysiąść i każe odjeżdżać. Nie pomaga tłumaczenie, że dziecko zmęczone, że chcemy mu dać ciepły posiłek. „Ujeżdżaj, bo budżet mandat, kuszat’ budiesz w Polsce”. Ale zanim będziemy mogli coś zjeść, musimy jeszcze wyjechać z tego kraju, „gdzie tak wolno dysziet’ czieławiek”. O 17-ej jesteśmy z tej strony granicy jako piąty samochód z kolei. Celnicy i pogranicznicy chodzą, stoją, nudzą się i palą papierosy. Zanim zostaniemy odprawieni minie dziesiąta w nocy. Z ulgą wjeżdżamy do Polski.

Autorstwo: Barnaba d’Aix

Źródło: WolneMedia.net

Przypisy

[1] tu: przepustka

[2] Spać i jeść trzeba w Polsce.

[3] Poszliście na kwaterę.

[4] Komitet Bezpieczeństwa Państwowego, Komitet gosudarstwiennoj biezopasnosti (KGB), organ państw. przy Radzie Ministrów ZSRR kierujący siłami bezpieczeństwa wewnętrznego (policja polityczna, wojska wewnętrzne).